№ 48. Warszawa, dnia 19 Listopada (1 Grudnia) 1877 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

UWAGI KOBIETY

nad dziełem D-ra Edwarda Reicha

Studya nad kobietą.

W XV wieku po narodzeniu Chrystusa, poważne, bo męzkie umysły, zajęte były zupełnie na seryo, roztrząsaniem pytania, czy należy przyznać prawo posiadania duszy kobiecie — chociaż tak proste i zrozumiałe są słowa Zbawiciela, który nauczając powiedział:

„A ty co ważysz i znaczysz, to znaczy i waży wszelki człowiek, zarówno dziecię drobne, ubogi i niewolnik, kobieta i więzień." I niechżeby w on czas ośmielił się kto zrobić zarzut konserwatystom ówczesnym, którzy kobietę do rodu ludzkiego zaliczyć nie uważali za stosowne, że wątpliwości podobne zuchwale przez nich głoszone, uwłaczają zasadzie chrześciaństwa, czy daliby temu wiarę, kiedy oni w głębi własnego przekonania, uważali siebie za chrześcian prawowitych?

Coś podobnego ma miejsce i w XIX wieku, w którym umysłowe potęgi uniesione zbyt daleko paniczną trwogą o to, by nie przynieść uszczerbku majestatowi mężczyzny, nie chcą przyznać kobiecie praw do bezwzględnego człowieczeństwa.

Zasadnicze różnice płciowe, podatniejsze tu niż w jakiejkolwiek innej kwestyi do wymotywowania, mniej lub więcej upozorowanych prawdopodobieństwem sofizmatów, stanowią dla tych duchów sprzeczności bardzo dogodny punkt wyjścia. Sofizmatem niby puklerzem osłoniwszy się przed pociskami prawdy, szermierze ci kruszący po bohatersku kopie za nietykalność wyższości rodzaju męzkiego, nie wątpią ani na chwilę, iż są sprawiedliwymi; czy jednak dla tego, że siebie chcą mieć za takich, mają być nimi w rzeczywistości.

Głębocy myśliciele, dla których sprawiedliwość najwyższa nie jest jakiemś wyrażeniem dwulicowem, lecz orzeczeniem stanowczem prawdy bezwzględnej, nie wahali się stanąć po stronie naszej, ale zbyt mali liczbą, więc chwiejni i niezdecydowani, przerażeni przytem śmiałością własnych swoich poglądów, tak wręcz przeciwnych ogólnie wygłaszanym opiniom, odegrali poniekąd li tylko rolę Piłatów i wypowiedziawszy swój sposób widzenia rzeczy, odnośny do zakresu praw kobiety jako niezależnego człowieka, umyli następnie ręce, oddając kwestyę naszą pod sąd fizyologów.

Ci ostatni zimni i sztywni, bo nie umiejący serca pogodzić z nauką, a jako specyaliści z natury rzeczy przeciwnicy kwestyi kobiecej, dumni z tytułu sędziów najwyższych jaki im się dostał w udziale, wystąpili uzbrojeni skalpelem i nienamyślając się długo, nazwali nasze pragnienie wyższej wiedzy — błazeństwem a nasze pretensye do równouprawnienia — sennem marzeniem.

Przypuściwszy nawet, że do powagi sędziowskiej, przywiązana była nieomylność, to i w takim razie nie postąpiłybyśmy nielegalnie, nie uznając wyroku panów fizyologów za nieomylny, gdyż sami oni nie przeczą bynajmniej temu, iż błądzą całkowicie po omacku w zakresie wiadomości przystępnych im dotychczas. Więc chociaż maluczkie i słabe, wsparte jednak poczuciem godności osobistej, która dziś już przybrała wyraźny w nas charakter — my kobiety uczułyśmy się silne do tyla, że ośmielamy się surowym tym sędziom naszym nie wierzyć na słowo — słowo tak często zbyt stronnie wypowiadane.

Raz wszedłszy na drogę szerszej działalności, cofnąć się nie mamy wcale zamiaru, i mocne wiarą w nieomylność prawdy, która prędzej lub później zwyciężyć musi, ze spokojem wyczekujemy chwili, kiedy czas, fakta i ściślejsze badania naukowe przyjdą nam w pomoc, wykazując po czyjej stronie jest słuszność.

Pomimo iż przegadało się już tyle o kwestyi kobiecej, że jednak jest to jedna z najbardziej żywotnych, najbardziej palących kwestyi, jakie kiedykolwiek poruszanemi były, ogół nie przestaje się nią interesować, a każda nowość jej dotycząca, każde słówko mające z nią związek, chwytane były łakomie i podawane z rąk do rąk. Rzecz prosta i naturalna, że kobiety z większym zapałem niż mężczyzni rzucają się do czytania podobnych nowości. Myśli i uczucia nasze skoncentrowane około wielkiej idei naszego odrodzenia, pobudzają nas do ciągłego czuwania, a nieustanne wyczekiwanie czegoś zdecydowanego, lub choćby jakiegoś przychylniejszego dla siebie wyrazu, utrzymuje nas w nieprzerwanej ciekawości. Ciekawość ta wszakże jest równie szlachetną jak i cele do których podążamy, a zamiary nasze tem są zacniejsze, że cechuje je zupełna bezinteresowność. My wiemy, że walka przez nas rozpoczęta, nie na chwilę, ale na lata jest policzoną, więc nie dla siebie, tylko dla przyszłych pokoleń usiłujemy zdobywać przywileje. Z prób gorzkich kosztem własnego życia nabytych, uniesiemy do grobu to przekonanie głębokie, że nad upokorzenie i więzy ducha nie ma dotkliwszych ciosów na świecie. Jakże nam słodko będzie umierać przy tym błysku nadziei, że te które po nas nastąpią, nie będą już jak my zrodzone na poniewierkę i podeptanie.

Jednym z tego rodzaju utworów na które baczność kobiet bywa zwykle silnie zwróconą, jest szumnie zatytułowane, a jeszcze szumniej po kilkakroć przez wydawcę p. Michała Glüksberga zapowiadane dzieło D-ra Edwarda Reicha „Studya nad kobietą." Chciwe wiadomości siebie, zabrałyśmy się pochopnie do badania tych studyów nad sobą; jak tylko opuściły prasę, lecz jak zwykle tak też i tym razem odeszłyśmy — rozczarowane, dowiedziawszy się równie starych, jak smutnych dla siebie rzeczy, że jesteśmy tylko pełnoletniemi dziećmi i że płeć żeńska, to sy-

nonim płci dziecinnej. Ale kobiety dzisiejsze, to już nie owe bierne stworzenia, rządzące się zdaniami drugich i sądzące nie swoim sądem, a chwiejące się za lada powiewem jakiejś myśli przelotnej i zmieniające poglądy za byle poszeptem — to też rąk nie załamałyśmy i nie jęknęłyśmy z boleści. Na ustach tych z nas, które zastanawiać się umieją, zamiast rozpaczliwego, sarkastyczny pojawił się uśmiech, gdyż wyrażenia podobne dziś zgnębić nas nie zdołają i nie obrażają już naszej miłości własnej, pod pewnym względem są one nawet zbawienne, a to dla tego, że działając na nas pobudzająco, wywołują konieczność tem większej ze strony naszej reakcyi, podniecają naszą odwagę i popychają nas naprzód.

I rzecz szczególna, że nienawiścią nie napawają serc naszych. Wyrozumialsze, bo tkliwsze od naszych przewodników, w odpowiedzi na wszelkie z ich strony zarzuty, mamy zawsze na pogotowiu następne wspaniałomyślne słowa miłości i pokoju: „przebaczyć im należy, albowiem oni nie wiedzą co czynią.“

Dziś my już stanęłyśmy u tego kresu, na którym zwątpienie nas nie ogarnie, prześladowanie nie dosięgnie, a zuchwalstwo nasze przybrało tak potworne rozmiary, że oto jedna z owych upośledzonych istot, zatrzymanych w swoim rozwoju na rozstajnych drogach pomiędzy dziecińństwem a człowieczeństwem, poważa się czynić uwagi nad pracą takiej znakomitości jak doktór niemiecki. Na dowód jednak, że tak bardzo zuchwałą nie jestem, jakby się to komu wydawać mogło, czuję się w obowiązku powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, że nie będzie tu zupełnie mowy o jakiejś ściśle naukowej ocenie, i że nie porywam się na rozbiór całego dzieła, ale tej jego części, która mię jako kobietę dotyczy. Pragnieniem mojem jest jedynie podzielić się z Czytelniczkami wrażeniem, jakie na mnie wywarła ta książka, wykazać niektóre pochwytane tu i owdzie sprzeczności i przedstawić zdania, które mi się niekonsekwentnemi być zdają, a które jednak mogą ujść oka krytyków męzkich, jako mniej interesowanych w tej sprawie, lub może mniej pochopnych do szczerego wypowiedzenia swoich przekonań w kwestyi tak drażliwej, jak kwestya emancypacyi kobiet.

Powiadają, że umysł męzki jest przeważnie indukcyjny — umysł kobiecy dedukcyjny, dla czegóż nie miałybyśmy wyzyskiwać podobnej sytuacyi i posługując się badaniami poczynionemi przez mężczyzn, dla czego nie mamy wyprowadzać ztąd wniosków, wynikających z naszego czysto kobiecego punktu zapatrywania się na rzeczy. Wszak do tego nie potrzeba nauk ścisłych, tylko zdrowego rozsądku dozwalającego uważnie rozglądać się w życiu i trzeźwego a bezstronnego osądzenia przedmiotu.

D-r Reich chcąc przekonać świat cały jak wielkim absurdem jest emancypacya kobiet, usiłuje poprzeć swoje dowodzenia tak niezbitymi argumentami, aby na przyszłość nie pozostawało już żadnego *ale* w tym względzie, naturalnie zatem, że się odwołuje przede wszystkiem do rożnicy wagi mózgowej.

Ach! te mózgi nieszczęsne! cóż to za niewyczerpane źródło uciech i tryumfów dla całej płci brzydkiej! Korzystając z każdej sposobności, antagoniści nasi wytykają nam tę naszą ułomność fizyczną.

Od niedawna kwestya mózgów przybrała niemal charakter mody i to tak dalece powszechnej, że niektórzy nawet z panów prelegentów niepomni na to, że każdemu miły honor, choć trochę mniej dziko pojmują swój kobiety, widocznie w chęci zaimponowania zwykle tak licznie zebranym słuchaczkom, mają sobie za najmilszy obowiązek przypominać im najczęściej *à propos de bottes*, jak po macoszemu obeszła się z niemi przyroda.

Oto jest tablica ułożona według wrażeń przedsięwziętych przez Józefa Bernarda Davis, podana przez D-ra R. na stronicy 40, którą w całości przytaczam; przecięciowy ciężar całego mózgu wynosi u

	mężczyzn	kobiet
Anglików	1425 gramów	1222 gr.
Irlandczyków	1406 „	1261 „
Francuzów	1338 „	1206 „
Włochów	1367 „	1206 „
Lapończyków	1350 „	1264 „
Szwedów	1392 „	1253 „
Holendrów	1404 „	1189 „
Niemców	1499 „	1160 „
Cyganów	1245 „	1224 „

Z tego się okazuje, mówi D-r R. że: „pod względem całkowitego ciężaru mózgu stoją Cyganie najbliżej swych kobiet, podczas gdy Holendrzy i Niemcy najwięcej od kobiet swych się oddalają. Anglicy są już nieco bliżsi swych towarzyszek, Włosi, Szwedzi, Lapończycy jeszcze bliżsi, a Francuzi są już do nich bardzo zbliżeni.

Cyganki przedstawiają większy przeciętny ciężar mózgu niż Angielki, Francuzki, Włoszki, Holenderki i Niemki, ale pozostają po za Irlandkami, Laponkami i Szwedkami. Żona Cygana dorównywa mniej więcej siłą duchową swemu mężowi, a Francuzka jest w najwłaściwszem znaczeniu duchową towarzyszką swego małżonka. Niemiec jednak równie jak i Holender stoi znacznie wyżej po nad swoją żoną, a emancypacya kobiet byłaby u Cyganów daleko łatwiejszą niż u Niemców i Holendrów. A więc raz jeszcze: u Cyganów byłaby najmniej niemożliwą, jeżliby w ogóle gdziekolwiek możliwą była.“

I cóż widzimy z tych cyfr zacytowanych w zamiarze pobicia nas na głowę?

Widzimy z pierwszego wejrzenia, że w obliczeniu D-ra R. zaszła mała pomyłka, gdyż jak się o tem każdy łatwo przekonać może z powyżej zacytowanych liczb, że nie Cyganki i Francuzki, ale Cyganki i Laponki stoją najbliżej swych mężczyzn — chyba że błąd ten policzyć należy na karb omyłki druku, co jednak z ogólnego rzutu oka nie zdaje się być prawdopodobnem.

W każdym razie, biorąc różnice tak, jak nam je tablica pana Dawis przedstawia, widzimy jasno i wyraźnie, że Cyganki i Laponki, to jest kobiety ludów barbarzyńskich są umysłowemi władzami najwięcej do swych mężczyzn zbliżone. Dla czego jednak rzecz się tak ma, D-r R. szczególnego tego zjawiska nie komentuje wcale — co jest naturalnem, jeśli go nie uważał, ale przypuścić też bardzo można, że uważać go nie chciał, nie życząc sobie faktu takowego objaśniać. Fakt ten wszelako według mego zdania, ma wielką doniosłość — bo oczywiście i dla czegóż to kobiety tych narodów co żyją w ciemnocie, znajdują się w najściślejszym związku intelektualnym ze swoimi mężczyznami, jeśli nie dla tego, że mózgi tych mężczyzn zostających w stanie pierwotnym natury, zatrzymały też swoją pierwotną formę, i że w ślad ze tem, stosunek naturalny pomiędzy obu płciami, mniej u nich niż u cywilizowanych narodów pogwałcony został.

W całym zresztą szeregu powyższego wykazu widnieje zupełna analogia w tym względzie:

I tak, Cyganie dzielący na poły ze swemi żonami wszelkie warunki życia koczowniczego, jednaką też z niemi umysłową rozwinęli działalność. Różnica wagi mózgowej wynosząca u mężczyzn tego plemienia niewielką przewyżkę 21 gramów, jest tylko konieczną wynikłością wprost prawidłową. Wszak układ nerwowy służy nie do samych umysłowych czynności; mężczyzna wyższy wzrost i grubsze aniżeli kobieta muskuły posiadający, więcej od niej wydatkować musi siły nerwowej tak na ruchy mięśni jak i na podtrzymanie życia organicznego, rozumie się więc samo przez się, iż odpowiednio też temu w większy zasób tej siły zaopatrzonym być winien.

Laponki przedstawiają już bardziej ujemną stronę, różnica wagi mózgowej jest u nich nieco znaczniejszą, a da się to objaśnić tem, że Lapończyk narażony na ciągłe trudy polowania, które jest dla niego jedynym środkiem wyżywienia rodziny, zmuszony zatem toczyć zaciętą walkę z niezliczonemi przeszkodami, jakie mu surowość klimatu nastręcza — bardziej spotęgował swój zarząd myślenia, niż towarzyszka jego siedząca wiecznie ze skulonemi nogami przy ognisku swej jurty.

W rzędzie wszystkich cywilizowanych narodów, francuzka jest w najwłaściwszem znaczeniu duchową towarzyszką swego małżonka, powiada D-r R., ale nie uznał za właściwe dodać, że jest to bardzo naturalnem następstwem, tej może nic nie znaczącej dla niego okoliczności, że kobiety we Francyi cieszą się największą swobodą i wraz z mężczyznami ściśły biorą udział w życiu publicznem — a o czem przecie dowiadujemy się nieco niżej z jego własnego dzieła.

Niemki przedstawiają odwrotną stronę medalu — czy jednak chlubić się tem powinien naród niemiecki? W Niemczech gdzie żona bywa razem z krową zaprzęgana do pługa, gdzie zatem traktuje się kobiety na równi z bydlęty jucznemi — mężczyzni po większej części oddani głównie manii filozofowania, acz spekulacyami swojego ducha nie przysporzyli żadnej rzeczywistej korzyści dla ludzkości, usilną jednak a mozolną pracą umysłu, zdołali do takich rozmiarów doprowadzić objętość mózgową, że dziwić się nie należy iż tam właśnie wytworzył się najbardziej wybitny rozdział pomiędzy obu płciami.

Jest jeszcze inna osobliwość, która nas uderza na tablicy pana Dawis, oto że mózg Francuzów przedstawia się korzystniej od mózgu Lapończyków, a sądzę, że prawdopodobnie i Niemiec nie zaprzeczy chyba temu, iż Francuzi są narodem bardziej cywilizowanym niż Lapończycy.

Pytam tedy, czy w razie ostatecznym nie mogłybyśmy faktu tego użyć i my jako obrony, przeciwko ciążącemu na nas kobietach w ogóle zarzutowi niekompetencyi umysłowej?

Zestawiwszy obok siebie mózg Francuza i Lapończyka, nie pozostaje jak: albo trzymając się ślepo teoryi uznać Francuza za bardziej ograniczonego; albo polegając na praktycznej ocenie, przystać na ten wniosek, że niekoniecznie od samej wielkości mózgu, lecz i od rozmaitych a wielce odmiennych w różnych ludziach sposobów jego działania zależą umysłowe władze.

Z osobliwością tą wreszcie, nie po raz pierwszy spotykamy się u pana Davis, nie pominął jej również w swojej Historyi Naturalnej Rodu Ludzkiego i Virej, który wzmiankuje też o tem: „że niekoniecznie najrozumniejsi ludzie okazują największe głowy — że Laponowie po największej części nieudolni mają mózg bardzo wielki podobnie jak karły — i że Kałmucy i Tatarzy posiadają większą czaszkę, niż wszyscy najwyżej ucywilizowani ludzie.“

Nawet i w świecie zwierzęcym anomalie podobnego rodzaju napotykać się dają, gdyż nie dalej jak z badań tego samego naturalisty okazało się np. że osły mają stosunkowo więcej mózgu jak konie. Pomińmy jednak te i tym podobne zboczenia, których i więcej odnaleźć by się dało, a powróćmy do rzeczy. Nie od dziś a od lat już kilku, kwestya mózgów budziła we mnie mocne zajęcie. Uczucie sprawiedliwości i godności osobistej mając głęboko wkorze-

nione, nie mogłam się w żaden sposób pogodzić z mniemaniem, aby kobieta uposażona darem myślenia na równi z mężczyzną, a przewyższająca go skarbami serca, miała być wyrokiem Boga i natury przeznaczona na istotę podrzędną i niewolną. Niepodobna mi było przedstawić sobie Stwórcę tak dalece niemiłosiernym, aby ograniczając rozmyślnie nasze władze umysłowe, pozwolił wszakże wznieść się tym władzom do tej wysokości, z jakiej ocenić czujemy się zdolne całą fałszywość naszego położenia w obce zasady najwyższej słuszności i zasady podniośle pojętej ludzkości.

Przyglądając się uważnie domowem zwierzętom, a nie dostrzegając żadnej widocznej różnicy umysłowej pomiędzy osobnikami płci obu — doznawałam nieraz chwil gorzkich, w których bluźnić miałam ochotę; dzięki jednak praktycznej stronie przeważającej w mojem usposobieniu, umiałam zwykle szybko otrząsnąć się z podobnie przykrych wrażeń — i pocieszałam się zawsze tem, że ludzie mylić się muszą. Nieprawdopobnem jest, myślałam wciąż uparcie, aby w całym rzędzie żyjących stworzeń, jedna tylko kobieta stanowić miała wyjątek — i wywnioskowałam, że albo przypuszczenie podobne jest błędnem, albo musi być jakaś po temu nieodzowna przyczyna. Gdzież tedy szukać mi wypadało owej przyczyny, jeśli nie w naukach przyrodniczych? Więc nie tracąc czasu, zabrałam się do wertowania każdej książki mającej z niemi jakikolwiek związek, nie zaniedbując przytem notować tych wszystkich paragrafów, które mi się zdawały mieć cośkolwiek wspólnego z kwestyą naszej inteligencyi.

Wprawdzie w Darwina dziele „O Pochodzeniu Człowieka“ spotkałam na wstępie co następuje: „Wreszcie, jeżeli jeszcze dodamy, że tak samo jak mężczyzna różni się od kobiety wzrostem, siłą fizyczną, uwłosieniem, władzami umysłowemi i t. d., tak też różnią się obie płci we wszystkich gatunkach zwierząt ssących. Wyrażeniem tem, *władzami umysłowemi* — obalającem mój główny punkt wyjścia, zostałam na razie tak niemile dotkniętą, iż mogłam była łatwo popaść w zwątpienie, gdyby zwątpienie było dla mnie możebnem. Jakoż później przyszłam rzeczywiście do przeświadczenia, że Darwin raczej z oznak powierzchownych, niż z samej istoty rzeczy, niepodobnej do gruntownego wysądowania, wyprowadzić musiał powyższy sąd swój o różnicy władz umysłowych pomiędzy obu płciami w dziedzinie zwierzęcego świata — według Brehma bowiem: „u przeżuwających zwykle stare samice, zwłaszcza bezdzietne, zarządzają stadem“ — a Menault utrzymuje w swem dziełku „O zmyślności zwierząt“ że: „właśnie u przeżuwaczy, różnica między samcem i samicą jest wybitniejsza jak w innych klasach zwierząt.“ A także że: „u ptaków samice przewyższają samców powabną zręcznością i przezorną uwagą.“

Któż u nas nie zna sławionej powszechnie pracowitości i przebiegłości kotek, a tradycyonalnego próżniactwa i ospalstwa kotów — a i co do przeżuwających, nie potrzebujemy udawać się za granicę, ani szukać stad dzikich aby znaleźć potwierdzenie świadectwa Brehma. „Przypominam sobie u siebie śliczną krowę płową, którą pastuch przezwał *lejcową* dla tego, że lubiąc rej wodzić w stadzie, postępowała zawsze na czele trzody udającej się na pastwisko lub powracającej zeń do domu, nie wiele sobie czyniąc z powagi o kędzierzawym łbie stadnika, sprowadzonego kędyś zdaleka. Pomimo te ambitne pretensye, lejcowa była matką wzorową i z wszelkiego rodzaju obowiązków swoich samiczych umiała wywiązywać się godnie.“

Virej utrzymuje, że macierzyństwo przeważa nad ojcowstwem i nazywa je duszą odrodzenia. Jeżeli przeważa, dlaczegóż ma być czemś podrzędniejszem?

Następnie powiada: „Zwierzę zamknięte w ciasnych granicach swego instynktu, ma tkankę komórkowatą tęższą, mniej zdolną do przyjęcia nauki i rozmaitych obyczajów, dla tego to dziecię, kobieta, mężczyzna, delikatne, czułe mający włókno, prędzej i łatwiej się uczy.“ Otóż ciało kobiety wilgotniejszem jest, a tkanka jej komórkowa rzadsza jak u mężczyzny — maż to ją stawić w gorszych warunkach? A jeszcze z tegoż autora: „Siedliskiem sił żywotnych jest mózg. Pomiędzy zwierzętami człowiek jest w najwyższym stopniu nerwistej natury,“ i temu zawdzięcza swoją wyższość moralną. W kobiecie, jak utrzymują lekarze, system nerwowy jest silniej rozwiniętym niż w mężczyźnie, lecz wręcz przeciwnie do całego szeregu zjawisk organicznych, uważanem to w niej jest jako wadliwość, która czyni ją ma niezdolną do przyswajania sobie gruntownej wiedzy.

Nie od rzeczy może będzie, zanotować w tem miejscu następującą myśl D-ra R. „U kobiety przypada mózgowi mniejszy a rdzeniowi kręgowemu i nerwom większy (jeżeli wolno tak powiedzieć) ciężar atomowy, niż mężczyźnie. Ale w takim razie, niechże nam wytłomaczy, dlaczego estetycy uważający, zapewne na mocy jakichś danych, mężczyznę za bliżej spowinowaconego z typem zwierzęcym — nazywają kobietę poprawną edycyą rodu ludzkiego?

Fakt podany przez D-ra R. na stronicy 42: „że ciężar mózgu u obu płci jest największym między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia“—a skonfrontowany z tem co czytaliśmy na str. 34: „że cały rozwój niewiasty prędzej i wcześniej się dokonywa“ czy nie daje też wiele do myślenia? I czy nie wykazuje niejako, zupełnej równomierności studyów rozwoju umysłowego u obu płci?

Nareszcie po cóż tenże sam D-r R. który utrzymuje, że mózg kobiety odstępuje od męzkiego pod względem miary i wagi, i to tak bezwzględnie jak względnie, przywodząc ustęp z dzieła Emila Huschke, tego co to nazywa płeć żeńską płcią dziecinną, notuje na str. 38 słowa wręcz przeciwnego znaczenia owego badacza: Głowa kobieca, jak i mózg kobiecy zostają w korzystniejszym stosunku wielkości z ciałem pozostałem, niż głowa męzka.

I czyliż wśród całego tego chaosu zdań sprzecznych nie można stracić głowy, bodajby korzystniej od męzkiej uposażonej?

Tymczasem Bischoff, którzy, jak powiadają, miał sam mniej mózgu niżby przystało na tak wielkiego uczonego, a za nim i inni wystąpili z twierdzeniem stanowczem, że kobieta jest istotą zajmującą w stworzeniu najzupełniej poślednie miejsce, i że organa władz intelektualnych kobiecych dają najniepochlebniejsze świadectwo o kobiecości. Nie pozostawało tedy jak zbadać, jaki jest rzeczywisty powód podobnego upośledzenia, bo że nie prawo zasadnicze natury, o tem nie wątpiłam ani przez jedną chwilę. Szukałam więc dalej i szukając znalazłam, że Darwin uważa mózg za narząd dający się tak dobrze przeistaczać jak i każdy inny, stosownie do większej lub mniejszej jego używalności. Z doświadczeń własnych czynionych nad królikami, zaopiniował on w swem dziele „O pochodzeniu człowieka“ że: „mózg domowego królika jest mniejszy od mózgu królika dzikiego lub zająca; co dałoby się tem wytłomaczyć, że zwierzęta te utrzymywane w niewoli przez tak długi szereg pokoleń, nie miały ani potrzeby, ani też zręczności rozwinąć swej inteligencyi, popędów, zmysłów i ruchów dowolnych.“

Rozważywszy to głębokie spostrzeżenie, wpadłam zaraz na pomysł, że coś podobnego dałoby się i do nas kobiet zastosować, ale tego jednego zdania było mi jeszcze za mało. Czytając trochę później Biblię i Naturę D-ra Hen. Reuscha, znalazłam z wielkiem zadowoleniem poparcie owego przypuszczenia, w kilku krótkich cudzysłowach, które tu w całości przytaczam.

„Retzjusz znajduje różnice pomiędzy czaszkami chłopów i mieszczan szwedzkich.“

„Latham zapewnia, że czaszki dawnych Szkotów co do objętości, mniejsze były niż teraz, co uważa on także za skutek stopnia cywilizacyi.“

„Negrowie, podług D. Warrena, mieli dawniej czaszki znacznie grubsze i frenologicznie rozpatrywane, mniejsze obiecywali zdolności, aniżeli dzisiejsze. (Podług wykopalisk z New Yorku).

„Wszystko to zdaje się stwierdzać zdanie J. Müllera i Engela, że kształt czaszek istotnie jest zależny od rozwinięcia umysłowego i odpowiednio do niego się przemienia.“

(d. c. n).

Dzień jesieni.

Las szumi i liści kobierzec szeleści,
A chmury białawe zimy dają wieści.
Pół śmierci, pół życia w tych liści powiewie...
Las szumi spokojny, bo dnia jeszcze nie wie
Gdy śnieg go spowije na długo na długo...
Śmierć idzie powoli i słoneczną smugą
Daje drzewom, kwiatom, dzień jeszcze nadziei,
I drzewa spokojnie czekają zawiei.
Piękny obraz lasu w tej jesieni porze!
Liście się zmieniają i w jednych kolorze
Widać niby walkę — wpół jeszcze zielone,
Drugie już wybladły, inne niezmienione
Nie wiedzą, że je wicher zerwie w pełni życia,
Że przeszedł dla nich ledwie pierwszy dzień rozwicia,
Ostatni z leśnych dzwonków kielich swój pochyla,
I czaru jeszcze pełna ta pogrzebu chwila.
Śmierć — błądzi jeszcze dzisiaj w białawych obłokach,
Wody swobodnie szemrzą, wirują w potokach,
To chwila nieujęta—taki dzień jesieni
Pełen ciepła i słońca—obietnic promieni...
A jednak to złudzenie—to tylko konanie,
Bo to ostatnie błyski, bo to pożegnanie.

Marya Ksawera Marczewska.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej

(Dalszy ciąg).

Rozdział IV.

Gdyby Warszawa miała tyle szkół co szynków, byłaby może miastem najpierwszem w świecie, gdy tak nie jest, zajrzyjmy do jednego z tych przybytków uciechy ludu ubogiego, który zajmując róg jednej z ulic przedmieścia Pragi, cieszył się wielką wziętością. Wprawdzie w powierzchowności swojej niczem się nie odróżniał od innych: miał tak samo gałęź sosnową zawieszoną nad głównem wejściem, szyld

z niezdarnem malowidłem, bufet i szafkę pełną flaszek i obok oddzielną izbę otoczną ławkami i stołami; ale przewyższał je starannością szynkarza, który w każdą niedzielę i święto sprowadzał kilku muzykantów, aby na przedętych trąbach i fałszywych klarnetach, służyli ku uciesze zgromadzonych gości.

Warszawa lubi się bawić: sposobności do zabawy ma wiele, szczególniej w zamożniejszej klasie. Dla ludu uboższego, szynk jest jedynem wytchnieniem po pracy, jedynem miejscem w którem zebrany wspólnie może się przyjrzeć sobie, zapoznać, pogawędzić, pocieszyć w trosce lub podzielić radością.

W dniu świątecznym, w którym rozstaliśmy się z Frankiem po gwałtownej scenie w pomieszkaniu dwóch szwaczek, w szynku owym ludzi było pełno; muzyka skrzeczała, klarnet starał się zagłuszyć trąbkę, trębacz przyciszyć bęben, czem dobosz wyraźnie obrażony tak się pałką dzielnie posługiwał, że odstraszał każdego od bliższego z sobą sąsiedztwa. Przy oknach od ulicy stało pełno ciekawych, w sieni lud się roił, nie brakowało go i w szynku, w około zaś izby tanecznej głowa tuliła się tuż przy głowie, starając się sięgnąć jedna ponad drugą i rzucić choć jedno spojrzenie na tańczące pary.

Pomiędzy tak natłoczonym ludem, wił się i kłębił dym z tytoniu, było parno i duszno, nie zwracano jednak uwagi na te niedogodności. Gwar, śmiechy i żarty na chwilę nie ustawały i wtenczas dopiero milkły, gdy klarnecista przeciągłym jękiem najfałszywszego tonu dawał znak, że i jemu spoczynek przynależy. Wówczas pary taneczne rozbiegały się na wszystkie strony; tancerki przysuwały się do swoich opiekunek lub towarzyszek dla poprawy wygniecionego przystroju, a tancerze do swoich przyjaciół szukając niedopalonego papierosa lub szklanki piwa jeszcze niedopitej.

Zgromadzenie całe przeważnie składało się z rzemieślników, wyrobników i rodzin do nich należących. Byli tam ojcowie i matki, były ich córki i synowie, była wreszcie i młodzież z nadwiślaków złożona, która dziarskością postawy a szczególniej niezwykłą butnością, głównie wyróżniała się pomiędzy innemi. Podobna do ptactwa z dnia na dzień żyjącego, ufna w siebie i w spryt nigdy ich nieopuszczający, krasiła twarze pewnym rodzajem swobody i samodzielności a czując kilka dziesiątek w kieszeni, bardo spoglądała na wszystkich ciesząc się obecnością a o jutro nie troszcząc się wcale. Rzemieślnicy i wyrobnicy byli to już wszystko starsi znacznie wiekiem: bawili się ale z rozwagą, częstowali ale z oszczędnością, weselili ale z pomiarkowaniem. Znać było, że jutro znów ich czeka z codzienną ciężką pracą, że myślą o niej, że rachują się z wydatkiem i czują że dola ich niebardzo ponętna.

Myśli podobne nie odbijały się na twarzach nadwiślaków: pusto wprawdzie jako w zimie było w ich kieszeniach, każdy jak mógł szukał zarobku byle żyć i przeżyć nudną zimę, ale ich ożywiała jedna nadzieja, Wisła, która skrępowana lodem, z wiosną znowu powstanie jak ze snu i falą zaszumi. Pomiędzy nimi byli znajomi nam już, Franek, Władek, i Józek, dobrze podochoceni, bo Franek nie żałował grosza, pił piwo i wódkę naprzemian, palił papierosy, a towarzysze na krok go nie odstępowali. Niby to był wesoły, śmiał się i bawił, nawet tańczył i pokrzykiwał ochotnie, ale znać było odrazu, że wesołość to sztuczna, nienaturalna, że pod osłoną żartów i figlów kryje się w nim jakaś rozpaczliwa boleść, którą śmiechem chce zagłuszyć a trunkiem zalać żeby nie paliła. Jeżeli puścił się w taniec, to kręcił się tak zamaszyście, że potrącany ze wszystkich stron, wypuszczał tanecznicę jak kamień z procy a sam rzucał się w tłum jakby w nim pragnął się zaprzepaścić. Sarkano na niego, gniewano, dziewczęta uciekały a Władek z Józkiem starali się uspokoić powiadając, że tak waryuje jakby uciekł od Bonifratrów.

— Co tobie jest, co z tobą się dzieje? pytali go z zadziwieniem.

— Co mi jest? Nic mi nie jest, tylko radbym te ściany porozbijać i cały świat podeptać nogami. Władek każ dać piwa.... nie, niech wódki dadzą a potem piwa.

— Ale waryacie upijesz się...

— Ja się też chcę upić, ale tak upić żebym już nie wytrzeźwiał przez całe życie. Chodź Władek, zatańczmy z sobą, bo te przepiórki tak drepczą że niewarto tańcować z niemi.

Muzyka na nowo grać zaczęła, ochotników tanecznych niewielu było, wystąpiły głównie dwie kobiety już niemłode, jedna w wiejskim przystroju, druga z miejska ubrana, w dużym czepku ze wstążkami i w chustce kraciastej ramiona osłaniającej. Poważny ich taniec zwrócił powszechną uwagę: na twarzy mieszczki znać było zadowolenie z zabawy niczem niezakłócanej, na licach wieśniaczki radość, że kręci się po tonach niezwykłej dla niej kapeli. Obie miały ochotę zawtorować śpiewem ochocie tanecznej, ale się powstrzymywały pojmując, że na to nie pozwala wzgląd na wiek i przyzwoitość. Kręciły się zatem sztywnie jak lalki w szopce, czasem przytupnęły, czasem uśmiechnęły się, ale na chwilę nie zmieniały przybranej powagi.

Kiedy Franek z Władkiem puścili się w wir tańca, z takim zamachem wpadli w środek izby, że obie walczące kobiety potrącone rozbiegły się tracąc chustki jedna z głowy druga z pleców. Roześmiano się gwarnie, kobiety dąsały się i łajały brutalnych młodzików a Franek z Władkiem nie widząc nic tylko siebie, obiegali jak szaleni tuż w koło przypatrujących się, depcząc po nogach bez wyboru. Wreszcie młodzi szaleńcy puścili się z objęć, Franek został sam, muzyka grać przestała.

— A to co znaczy? zapytał Franek zwracając się do muzykantów. Hej! trębacze, ja płacę, dalej w miechy choćby pęknąć miały!

I mówiąc to wydobył portmonetkę, kilka dziesiątek rzucił na stół, kilka rozsypał, i kiedy schylił się dla pozbierania, runął na ziemię wyrywając jakiejś dziewczynie fałdy całej prawie spódnicy. Dziewczyna krzyknęła, zgromadzenie poruszyło się z wielką wrzawą, łajano, żartowano, dowcipkowano, a tymczasem Franek przy pomocy swoich przyjaciół dźwignął się i powstał na nogi.

— Chodźmy Franek, dosyć już tej uciechy.

— Nie, nie dosyć... żebyście mnie zabili... tak nie pójdę, bełkotał Franek już zupełnie odurzony i nie mogący utrzymać się na nogach.

Po różnych wreszcie namowach, zdołano go wyprowadzić z izby, ale świeżem powietrzem tak został rozmarzony że przyjaciele na chwilę nie mogli go zostawić samego. Noc była ciemna, a w takiej porze nawet w Warszawie przy latarniach gazowych można zęby wybijać, cóż dopiero na Pradze będącej jej przedmieściem. Ulica cała zasłana była śniegiem, tuż przy chodnikach sterczały wielkie z niego kupy zmiecione dniem wprzódy. Władek z Józkiem prowadzący Franka doszedłszy do poprzecznej ulicy, chcieli przejść na drugą stronę, ale w tej chwili nadjechały sanki warszawskie z dwoma kobietami i mężczyzną, musieli się więc zatrzymać. Jednocześnie stanęły i sanki a mężczyzna wyskakując poprosił Józka o ogień od papierosa.

— Braciszku kochany, odezwał się, pocałujmy się papierosami, za to uczęstuję cię prawdziwym sułtanem jakiego jeszcze w życiu nie paliłeś.

Był to mężczyzna rosły i o ile przy ciemności nocnej można było dostrzedz, młody i przystojny. Okryty futrzaną algierką miał na głowie świeży kapelusz cokolwiek na bakier ułożony z pod którego wysuwały się gęste pukle ciemno bląd włosów. Józek na zaproszenie tak grzeczne uśmiechnął się, zbliżył z papierosem a gdy światło ognia padło na twarz młodego człowieka, Franek poznał w nim nienawistnego współzawodnika rujnującego wszystkie jego najdroższe nadzieje. Szarpnął się w objęciach Władka i rwąc się ku młodzieńcowi, mamrotał przekleństwa i odgróżki usiłując gwałtem pięścią go dosięgnąć.

— Franek miej rozum, mówił Władek wstrzymując swego towarzysza.

— Puść mnie, puść! bełkotał Franek, niech go tylko raz zamaluję pięścią, żeby miał znak na całe życie. Puść mnie, puść!

— Panie Stanisławie, jedźmy, odezwała się jedna z kobiet siedząca w sankach.

Był to głos Józi, Franek poznał go i zrobiwszy gwałtowne wysilenie rzucił się z dzikim rykiem za sankami, ale te w tej chwili ruszyły i Franek padł w sam środek kupy śniegu. Towarzysze zaraz zajęli się jego dźwignięciem, ale czy nie umieli sobie radzić, czy też Franek umyślnie opierał się, dość że namęczywszy się żadnym sposobem nie mogli dźwignąć. Chłopcy spojrzeli na Franka zafrasowani, a zobaczywszy że się ten poprawił, ułożył wygodniej i tak śpi że aż chrapi, podrapali się w głowę i Władek rzekł:

— To zostawmy go, jak się prześpi w chłodzie to się wytrzeźwi i zabierzemy powracając do domu.

Trzymając się pod ręce zaszli do znajomego nam szynku, tam naturalnie trochę się zabałamucili, a Franek leżał i spał jak zabity poruszając się niekiedy od przejmującego go zimna. W godzinę przypomnieli sobie wreszcie o zostawionym towarzyszu, ale go już nie zastali w kupie śniegu, tylko z rozrzucenia go i utłoczenia domyślili się, że ktoś ich wyręczył. Przypuszczając napaść i obdarcie przyjaciela, przeszukali całą ulicę, przejrzeli wszystkie kupy śnieżne, ale nic nie znaleźli coby ich na ślad lub domysł jaki naprowadzić mogło.

— Może go kto obdarł, odezwał się Władek i dla nieposzlaki wrzucił w przerębel do Wisły.

— A może, potwierdził Józek, w Warszawie to różnie bywa.

— Słuchaj Józek, co się stało to się stało choć źle wypadło, ale język trzymaj za zębami. Jakby się pytano o Franka, powiedzmy żeśmy go wyprowadzili z szynku żeby nie robił breweryi i że potem poszedł sam do domu bo się z nami pokłócił.

— To się wie, jeszczeby nas pociągali do sądu, a potem zapakowali do dziury.

Co się z Frankiem działo od chwili jego upadku w pogoni za sankami, było najzupełniejszą tajemnicą. W pierwszej chwili zdawało się mu, że ścigając za odjeżdżającymi już ich dogania, wyciąga ręce, chwyta, targa, tarza w kałuży. Później widziadło to zniknęło: zdawało mu się że płynie w niebieskie wyżyny, że mu lekko, swobodnie i otacza go samo szczęście niewysłowioną błogością. Gdzie spojrzał wszędzie widział jakby jasne obłoki otaczające go w około, czuł się unoszonym na ich delikatym puchu a z pośród nich wyglądające główki aniołów ze złocistemi skrzydłami, i patrzące na niego ze współczuciem jakby oczami w łzach skąpanemi. Główki te przybierały czasem całkowite postacie niewiście, coś radziły i szeptały a Franek patrzył i myślał sobie:

— To zaczarowane królewny unoszące się w mgle po nad Wisłą, polami i lasami płynącej. Jestem w zaczarowanym pałacu i niebym nie chciał tylko tem ślicznem królewnom upaść do nóg i stopy ich ucałować.

Wpatrywał się też w nie jak w świętości jakie, a choć czasem zniknęły, miał je ciągle przed oczami, pieścił się z niemi, rozkoszował, zachwycał i prosił Boga aby go nigdy nie odstępowały. Później zapadł w stan zupełnej nieświadomości, zdawało mu się tylko że jakiś ciężar tłoczył mu piersi, że leci w przepaść ciemną, straszną, coraz niżej spada, że ją już dosięga...

Ocknąwszy się z marzenia, chciał się poruszyć, nie miał siły, otworzył oczy i zobaczył przy sobie siedzącą zakonnicę w szarytek ubraniu. W pierwszej chwili nie mógł jej poznać a ulegając wpływowi sennego marzenia zapytał:

— Gdzie jestem, czy w zaczarowanym pałacu?

— W szpitalu, odrzekła zakonica, i składając ręce dołożyła: Bogu dzięki że wróciłeś do przytomności.

— A kto mnie tu oddał?

— Przysłano cię jako znalezionego bez przytomności i zmarzniętego na ulicy. Czy nie czujesz pragnienia?

Franek potwierdził skinieniem, napił się z podanego kubka i wkrótce znowu zapadł w sen głęboki.

Od tej chwili chory miał się coraz lepiej, siły z dniem każdym przybywały tak że w parę tygodni później, Franek zaczął się dźwigać z łoża boleści i chwilowej po korytarzu używać przechadzki. Człowiek z mniejszym zasobem sił i zdrowia, byłby przypieczętował śmiercią nieoględność swoich towarzyszy, ale Franek był nadwiślakiem; mróz, upał, śnieg i słota nie były mu obce, bratał się z niemi w każdej porze roku i nie rozumiał nawet co to jest przeziębić się lub przemoczyć. Gdy było zimno, bił rękami jak młotem w kuźni; gdy skwar dopiekł rzucał się w Wisłę, gdy był grosz hulał, gdy brakło żył jak Bóg dał czasami i po tygoniu nie kosztując ciepłej strawy. Zahartowany na wszystkie braki i niewygody, nieraz po całych dniach przy pilnej robocie stojąc po kolana w wodzie, gdy plecy ziębły jakby je kto lodem okładał, Franek nie dał się zmódz i chorobie. Przeziębiony aż do szpiku, w okropnym tyfusie przeleżał, przecierpiał, stracił włosy, wychudł, wymizerował się ale dźwignął i choć osłabiony postanowił szpital opuścić. Wyganiał go najważniejszy powód... głód niczem niezaspokojony, chęć jedzenia choćby kamieni, a szpitalne porcye dobre dla chorych, rozdrażniały go tylko i pragnienie pokarmu jeszcze bardziej wzmagały.

Wyszedł zatem, przebrał się we własne rzeczy, nic w nich wprawdzie nie brakowało, ale książeczki kasy oszczędności nie znalazł ani pieniędzy, z których o ile sobie przypominał, parę złotych przy nim pozostało. Gdzieby się to wszystko podziało, nie umiano go objaśnić w kancelaryi, a na dowód że już bez nich przywieziony został do szpitala, pokazano mu spis przedmiotów znalezionych przy nim razem z pokwitowaniem z odbioru. Biedny zatem Franek nie miał ani grosza przy sobie, a w dodatku czuł osłabienie w nogach i w całym sobie, zaledwie mu pozwalające posuwać nogami.

— Może przecie dowlokę się do poczciwego Antoniego na Pradze, myślał sobie, to już dam sobie radę, nie zginę przecie. Tu dłużej niepodobna siedzieć, z głodu gotówbym się chwycić sam siebie.

Poszedł zatem i podobny więcej do mary jak żyjącego człowieka, z wyłysiałą głową, z zapadłemi policzkami i oczami gdzieś w głębi świecącemi, wlókł się ulicami trzymając ściany wielce mu w tak strasznem osłabieniu pożytecznej. Ile razy przechodził około sklepiku z bułkami lub ze skwierczącemi na patelniach kiełbasami, chęć do jadła tak się w nim wzmagała że za małą porcyjkę tak ponętnego jadła, byłby chętnie oddał wszystko co miał na sobie, nawet cząstkę życia gdyby się go domagano.

— Powiadają, myślał sobie, że dyabeł na duszę daje pieniądze, ale to bajka, bo gdyby dyabeł był taki spekulant toby wiedział o moim głodzie.

Przystając, odpoczywając na schodkach sklepowych, Franek szedł dalej aby jak najprędzej dostać się do mostu. Od rzeźniczych wystaw odwracał oczy, na stragany starał się nawet nie spojrzeć, czasem zatrzymał się mimowoli przy cukierniczych słodyczach lub delikatesach w oknach handlów mieszczących się, i szedł znów dalej czując że go siły coraz bardziej opuszczają. Gdyby choć kawał chleba mógł gdzie dostać, choćby kromkę najmniejszą, ale zkąd go tu wziąść; gdzie znaleźć tę upragnioną zdobycz? Prosić nie było kogo, żebrać nie miał odwagi, do kradzieży nie było siły... Zimne i gorące poty przechodziły po biednym Franku, nogi coraz bardziej uginały się, trząsł się, kurczył, raz poraz opierał się o ścianę, o okienicę lub słupek w bramie a przechodnie mijali obojętnie, myśląc że pijany zapewne wzięty zostanie pod opiekę policyi. Skręcił wreszcie w ulicę Bednarską: tu z góry łatwiej mu już było spuszczać się ku Wiśle, szedł zatem pośpiesznej ale gdy doszedł do sklepiku pełnego bułek i chleba wypieczonego, nie mógł już pokonać głodu i zatrzymując się rzekł do przekupki siedzącej przy kramie i jedzącej z pełnej miski kłębiącej się parą.

— Pani, rzekł do niej, daj mi bułkę chleba a w zastaw zostawię ci surdut.

— Surdut? Czy to ja fanciarka czy co? odrzekła przekupka z dąsem. Idź asan dalej, ja na fanty nie daję.

— Wyszedłem ze szpitala, jestem bez grosza, prawie umieram z głodu.

Ale przekupka nawet nie słuchała objaśnienia Franka, i zajęta załatwianiem kilku przybyłych, zwróciła się ku niemu plecami szepcząc pod nosem:

— Pewno jaki złodziej albo nicpoń warszawski. Surdut chce dać w zastaw żeby mnie zapłatać w jaką biedę. Ho! ho! nie dam ja się złapać w sidła. I zobaczywszy że Franek jeszcze stoi i pożądliwie spogląda na bułki, dodała więcej stanowczym głosem:

— Idź asan i nie stój tu na drodze, bo zawołam policyanta.

Franek poszedł dalej.

— Trzeba się dowlec między szychty drzewa, rzekł w myśli, tam wypocznę na słońcu.

Był to sam koniec Marca, dzień był ciepły słoneczny, ale w cieniu chłód dobrze dokuczał. Do szycht z drzewem nie było daleko, ale dla tak słabego jak Franek dostanie się nie było łatwe. Dopchał się przecie i wynalazłszy klocek ku słońcu zwrócony, usiadł na nim opierając ręce na dwóch obocznych, jakby o poręcze krzesła najwygodniejszego.

— Ach! jak tu dobrze, jak ciepło! zawołał ucieszony. O! tu pokrzepię się z pewnością, wszak to dopiero południe.

Ciesząc się chwilową ulgą, nie wiedząc jak i kiedy usnął i wtedy się dopiero przebudził jak cień zakrył go do połowy i chłodem przywrócił do przytomności. Przetarł oczy, chciał się dźwignąć ale zaraz opadł bezwładnie. Niemoc taka nim zawładnęła, że bez wysiłku pewnego nie mógł ruszyć ani ręką ani nogą.

— Już teraz nic nie poradzę, szepnął z rozpaczą. Jeżeli noc mnie tu zaskoczy, to zmarznę bo i tak drżę od zimna. Gdybym się mógł choć wypełzać ku drodze...

Franek znowu się dźwignął, poruszył nogami, wysunął je i podpierając się jedną ręką kijem podniesionym z ziemi, drugą o szychtę drzewa, wlókł się ku owej tak upragnionej przez niego drodze. Na drugiej stronie szychty znajdowała się kupa śmieci, a na jej środku jakaś kobieta zwrócona tyłem grzebała mrucząc gniewnie sama do siebie:

— Bodajeś kark skręcił! mówiła prędkim głosem prostując się. Taka kupa wielka i taka pusta! Gmerz i gmerz i nic nie wygrzebiesz. Żeby cię pokręciło!

Była to śmieciarka warszawska, kobieta przeszło pięćdziesiątletnia, w brudnym czepku, w wyszarganej i połachmanionej sukieńczynie, przewiązana na krzyż starą chustką dobrze wypłowiałą. Na jednej nodze miała but męzki z długą cholewą, na drugiej trzewik damski już dobrze podniszczony. Tuż przy niej stał koszyk stary połamany i leżało zawinięcie z brudnej płachty dobrze wypchane. Franek ujrzawszy ją, odetchnął, uczuł się ocalonym, znalazł przecie żywą duszę co mu nie odmówi pomocy, a widząc że się znów nachyliła do przerwanych poszukiwań, odezwał się podsuwając się ku niej o ile można najbliżej.

— Pani, wyszedłem dziś ze szpitala...

— Wszelki duch chwali Pana Boga, zawołała śmieciarka zwracając się przestraszona do Franka. A to co za zmora? Jakżem się strasznie przelękła! A asan co tu robisz, czego się czaisz jak kot do myszy?

— Wyszedłem matko ze szpitala...

— Nie nazywaj mnie asan matką, przerwała trzęsąc głową z przeczeniem, bo w uczciwym stanie panieńskim przeżyłam już lat przeszło pięćdziesiąt i przetrwam w nim do końca życia, choć i dziś mogłabym pójść za mąż gdybym tylko chciała. Nazywam się panną Katarzyną i wszyscy mnie panną tytułują, bo wiedzą że mi ten tytuł przynależy.

Objaśnienie to wypowiedziane było niezmiernie prędko, jakby z dumą obrażoną i gniewem usilnie tłumionym. W poparciu tych słów swoich, panna Katarzyna, kilka razy kijkiem zakończonym hakiem uderzyła w ziemię, a potem wyprostowawszy się spojrzała na Franka. W majestatycznej tej postawie, przy rysach ostrych, twarzy ogorzałej, sterczących policzkach, nosie spiczastym i brodzie ku górze wygiętej, wydlądała dość zabawnie, ale Franek nie zważając na to, wlepił w nią spojrzenie błagające o litość i współczucie. Śmieciarka inaczej to zrozumiała, nie dając mu zatem mówić, roześmiała się szydersko i biorąc się pod boki, mówiła dalej.

— Ha! patrzysz na mnie młodziku jak w tęczę? Nie pierwszy takim jesteś, ale to na nic się nie zdało. Zawsze od wszystkich odwracałam oczy, bo tylko był jeden na świecie dla mnie i jam jedna dla niego cośmy śmiało na siebie spoglądali. Gdy jego brakło, z oczów moich jedna kropla łez nie pociekła, ale za to rozpalił się w nich ogień, który mnie piekł, trawił i strawił, drugich nęcił i został nietknięty, choć nie przygaśnie aż razem z mojem życiem. On tam został, mówiła dalej wskazując na drugą stronę Wisły... znalazłam go... otarłam czoło, ucałowałam i zostałam sama... w opuszczeniu. Bóg tak chciał...

— Panno Katarzyno, odezwał się Franek zobaczywszy że umilkła i zwiesiła smutnie głowę. Gdybyś mnie panna mogła poratować... umieram prawie z osłabienia...

— A cóż się asanu zrobiło, czyś chory? zapytała porywczo.

— Dziś wyszedłem ze szpitala, po szklance tylko mleka i kromce chleba...

— A! jesteś głodny, to cóż ci poradzę? Głód to dobry nauczyciel, czasem daje pokusy do złego ale i uczy rozumu. Gdym została sama na świecie nie wiedziałam co począć: wstydziłam się pracy i służby bo urodzenie mi na to nie pozwalało, a lękałam się

złego jak ognia bom postanowiła bez zmazy złączyć się tam z moim ukochanym...

Przy tych słowach wyciągnęła rękę i wpatrzyła się w niebo jakby śledziła straconego.

— Głód wszystkiego mnie nauczył, mówiła dalej po małym przestanku. Pokusy odepchnęłam ze wzgardą, w postanowieniu mojem wzmogłam się, bo on mnie tam czeka, tak, czeka, taką jaką byłam dla niego na ziemi. Gdym zjadła ostatni kęs chleba i przez dwa dni popijała wodę poszłam do obowiązku, a teraz przedaję pierniki i owoce, a jak mi się handel uprzykrzy to zbieram po śmieciach, ale nikogo o nic nie proszę, bo to byłoby żebractwem a *onby* tego nie pochwalił. Siostra chciała mnie wziąść do siebie, a to po co, rzekłam sobie. Czy po to abym tak tańczyła jak mi grać będzie? Ho! ho! nie doczekanie twoje! Wolę przy suchym kawałku chleba moją wolność jak przy jej frykasach niewolę. Modliłam się, i z woli Bożej *on* mi tak poradził, bo ja z nim rozmawiam jak z żywym, jak z narzeczonym swoim, każdego dnia, każdej godziny gdy ból serce tłoczy. Tak, tak, to moje całe szczęście, nie oddałabym go za nic, choćby mnie wsadzono do złocistej karety i do brylantowego zawieziono pałacu..

Śmieciarka zadumała się, myśl jej w głębinach ducha utonęła, szemrała tylko ustami nic nie widząc i nie słysząc koło siebie. Franek korzystał z przerwy a zajęty jedną myślą zaspokojenia trapiącego go głodu, nie zwracając nawet uwagi na wywody śmieciarki odezwał się:

— Mam surdut, mam buty, gdyby za nie można było kupić choć bochenek chleba...

— Chleba? Czekaj asan, mam tam w koszyku kromkę co mi poczciwa kucharka do kości dołożyła dziś rano. Jest tam także i gnat z kawałkiem mięsa, to pożywisz się robaku, poczekaj.

Śmieciarka potrząsnęła w koszyku, przerzuciła między rupieciami i wydobywszy posiadane zapasy podała je Frankowi. Wygłodzony chłopiec aż się rozśmiał z radości i nie ociągając się ani chwili zabrał natychmiast do jedzenia.

— Ostrożnie! bo się udawisz, odezwała się śmieciarka, a do okrojenia kości dam ci nóż to będzie dogodniej. Zęby trzeba szanować, patrz asan mnie ani jednego nie brakuje.

— I mnie także, szepnął Franek.

— Ba! widzę to dowodnie, ale jedz asan i nic nie gadaj. Gnat ten miałam ogryźć wieczorem po powrocie do domu, ale Bóg świadkiem że ci go nie żałuję i tak się raduję jakbym sama jadła.

Franek w milczeniu rzucił na swoją dobrodziejkę spojrzenie pełne wdzięczności.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

do Południowych Stanów Zjednoczonych,

w 1875—1876 r.

PRZEZ

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Szedłem wzdłuż ścieżki, wydeptanej głęboko. Mijałem moczary i lasy jodłowe, smętne nakształt losu tłoczonego ludu, który podróżuje tu najczęściej. Niekiedy spotykałem murzyna, nigdy białą osobę, bo człowiek biały nie chodzi pieszo w południowych stanach. Jeżeli nie posiada konia lub muła zapewnie nie opuszcza domu, albowiem biały przechodzień byłby zjawiskiem równie zdumiewającem w tych stronach, jak kruk biały. Każdy z przechodzących murzynów dotyka kapelusza, na sposób żołnierski, i wita mnie pokornem „dzień dobry panu.“ Drzewa stały w ponurych szeregach, wyciągając bezlistne konary nad strumieniami i potrząsając długiemi kitami tego cudnego mchu srebrzystego, który stanowi cechę wegetacyi południowej. Niektóre z tych drzew przypominały raczej roślinność południowej Europy niż północnej Ameryki. Ptactwo o pięknem pierzu, lecz milczące, krzątało się na ziemi, pomiędzy młodą trawką, żerując i romansując. Widziałem niezliczone stada turkawek i gawronów które tu nie kraczą. Niema powaga tych ptaków sprawia dziwne wrażenie. Jeden rodzaj ptaka, nazwany „ptakiem ognistym“, podobał mi się krwawą barwą pierza i wyniosłym, szkarłatnym czubkiem.

Wyszedłem z lasu na gościniec i otwartą okolicę, wedle mego zdania smutniejszą od boru, gdyż zupełnie zaniedbaną. Pola tutejsze nie ogrodzone płotami; dokoła nędznych chat i zdziczałych ogródków murzyńskich widzę zbutwiałe na poły ogrodzenia. Całą równinę przecinają niezliczone parowy wyryte słotą, bardzo głęboko niekiedy. Czeluści te nie mają najczęściej nad kilka stóp szerokości, a brzegi ich spadają pionowo, nakształt murów, gdyż nie znają mrozu w tej okolicy, który kruszy ziemię w zimniejszych strefach. Te parowy niszczą oczywiście łany uprawne, lecz nikt nie stara się przeszkodzić ich tworzeniu, coby łatwo można uczynić, wrzucając pęk chrustu lub furę kamieni w rowek nadpoczęty ulewą. Spotykam odrapane wątłe wozy i nędzne bydło. Kilkakrotnie widziałem parę cielaków zaprzężonych do woza, na którym leżał olbrzymi murzyn, kierujący swoją chudobę za pomocą długich lejców ze sznurów bawełnianych. Czasem byk i muł ciągnęli wóz zgodnie, a pod budą z białego perkalu szwargotała i śpiewała wesoło lekkomyślna murzyńska rodzina. Ile razy mijałem ich, przerywali rozmowę i kłaniali się; murzyn szanuje albo lęka się białego człowieka.

Plantacye tutejsze równają się obszernym podolskim folwarkom, zajmując najczęściej 1,000—2,000 akrów. Grupy domów stoją nakształt wiosek śród plantacyi, licząc o półgodziny, albo godzinę drogi od siebie. Cała okolica razi oko niegospodarnością i zaniedbaniem. Orzą tu maleńkiemi pługami o jednym mule. Często widywałem 10 lub 15 takich pługów postępujących leniwie, jakoby w szeregu. Orka była płytką i krzywą, zaledwie uszłaby na Rusi. Czasem samotny byczek, niewiększy od sporego cielaka zastępował muła, a murzyn szedł za nim, uprawiając kilka morgów pośród niezmiernego lasu, niegdyś wydającego obfite plony, dziś zapuszczonego powiększej części krzewami.

Wreszcie doszedłem do plantacyi, w posiadaniu osoby, do której miałem polecenie. Zwykle zachwyca mnie widok futoru amerykańskiego, schludne one, a życie na nich pozwala wciąż obcować z przyrodą. Samotny dom, pola i gaje dokoła, najbliższa ludzka siedziba gdzieś daleko, tylko dym z niej wije się ponad dąbrową graniczną, rolnik przychodzi z pola, przynosząc okruchy ziemi na butach i woń stajni na odzieży, w uścisku jego dłoni czuje siłę, w głosie swobodę i otwartość sielską, dokoła nas spostrzegam obfitość, tak wyobrażam sobie fermę Nowego Świata. Ale plantacya południowa, nie należąca do magnata lecz do rolnika miernego stanu, przedstawia zupełnie inny widok. Gdzie ją dawniej otaczał płot dziś gnije szereg obalonych słupków i poręczy. Sztachety ogrodowe także walą się i butwieją, a bramy i furty nie mają zawiasów i leżą na ziemi nieużytecznie. Przeszło dwadzieścia chatek murzyńskich tworzy bezładną wioskę. Ściany ich z niemalowanych, słotą poplamionych tarcic, nie mają drzwi, okien, kominów; w kilku nikt nie mieszka. Za niemi widzę kosz na kukurydzę i prasę do ściskania bawełny. Dalej ogromne, brzydkie domisko, zasłaniające sadek. Dom był niegdyś malowany na biało, ale deszcz zmył część farby, nadając ścianom pręgowatą powierzchowność. Śpichrza albo stajni nie widzę, snadź trzymają tu zawsze bydło pod niebieskim dachem. Prawie wszystkie szyby na pierwszem piętrze grad wybił... nie wstawiono nowych. Jednakże właściciel tej plantacyi wodzi rej w okolicy, odgrywając ważną rolę przy wszystkich wyborach i napadach na murzynów.

Staję pod werandą, przed oknami domu, które nie mają firanek i okienic. Siodło męzkie wala się na ganku, nad niem wisi róg myśliwski. Kilka psów gończych (biglów) opada mnie, ale pozwalają się ułagodzić przekąską, którą niosłem w kieszeni, wedle swego zwyczaju w podróży. Pukam... nikt nie odpowiada. Siadam na ławce pod gankiem i czekam. Po chwili widzę twarz czarną wychylającą się z po za węgła domu. Murzynka obejrzawszy mnie zaczęła nawoływać pana Nelsona.

— A czego chcesz, ty czarna jędzo? pyta głos szorstki.

— *Massa! massa!* (panie, panie) jakiś gentleman przyszedł.

Niebawem przyszedł gospodarz, mężczyzna barczysty, rumiany, cokolwiek zażenowany niedbałością stroju swojego, w obec gościa w miejskim ubiorze. Murzynka przyniosła mu krzesełko, na którem rozwalił się z prymką w ustach i obcasami na poręczy, łączącej słupki werandy. Oddałem list, przeczytał go i dłoń mi podał.

— A, to pan z północy? z północy? Cóż tam mówią o prezydencie? Która partya wygra?

— Nie mieszam się do polityki.

— To barzo dobrze! My lubimy północnych gości, ale tylko takich co nie myślą o polityce, nie psują tych psubratów murzynów, nie nabijają im głów ideami o równości i prawie do urzędów; co nie przyjeżdżają tu, szukając stanowisk za pomocą głosów murzyńskich. Nam trzeba ludzi z kapitałami, którzyby pożyczali na mierny procent, ale nie torbiarzy politykujących.

— Cóż u panów słychać o polityce?

— Albo ja wiem, mój panie? Te czarne psy, nigry, panują teraz nad tym nieszczęśliwym krajem. Oni nam dają prezydentów. Oni zagrabili cały interes wybierania urzędników. Jeszcze wypadnie nam służyć im!

W tejże chwili rozległ się w przedpokoju brzęk stłuczonego naczynia. Pan Nelson zerwał się z krzesła, wpadł do domu i wyciągnął zeń za uszy dorostka mulatę.

— A coś tam zbroił, łotrze? wołał do niego.

— Niosłem dzban... i upuściłem go. O! panie, panie, już nigdy...

Piski i prośby nie pomogły, póki pan Nelson nie odbił na jego grzbiecie straty dzbana. Poczciwszy sługę znów usiadł przy mnie, lamentując, że murzyni rządzą krajem.

Nie sądź czytelniku, że dodałem kroplę jaskrawego kolorytu do powyższej sceny. Niech ona świadczy, ile pan Nelson miał racyi, żaląc się na murzyńską bezczelność i butność. Nie raz czytamy w gazetach nakształt *Times* lub *Debats*, lub w niektórych niemieckich, listy z południowych Zjednoczonych Stanów, żalące się iż skutkiem liczebnej przewagi tłuszcza murzyńska wyzyskuje białą arystokracyę, a nawet źle się obchodzi z białymi sąsiadami. Otóż

mogę poświadczyć, że biały chlebodawca zawsze sam sobie wymierza sprawiedliwość na czarnym słudze, ilekroć w obec mnie zaszła sprzeczka pomiędzy nimi. Widziałem 20 białych bijących murzynów; nigdy nie spotkałem murzyna, któryby nie kłaniał się pokornie białemu.

Gdy pan Nelson usiadł, pobity sługa wrócił do przedpokoju i wył tam nakształt dziecka, przerywając moją rozmowę z gospodarzem.

— Dam ja ci łotrze! dam ja ci! wołał pan Nelson przez drzwi otwarte. A będziesz tłuc? co? Tu ciął płaczącego jeszcze raz długim batogiem myśliwskim i dodał: a teraz ani pisku!

— Ależ ja zapłacę z pensyi swojej.

— A pewnie że zapłacisz! ale i skórą zapłacisz! ty czarny dyable, gdybym cię nie bił, natłukłbyś w jednym dniu więcej, niż przez rok potrafisz zapłacić. A teraz precz (tu go ciął raz jeszcze) i nie pokazuj mi się do jutra! Słyszysz?

Murzyn znikł. Gospodarz mój zwrócił się do mnie z miną spokojną, jak gdyby nic nie zaszło nadzwyczajnego. Przeważając się na krzesełku i opierając głowę o ścianę, rzekł:

— Pal ich diabli! zrujnowaliby mnie, gdybym nie uczył ich respektu.

— Jakżeż spisują się przy pracy polnej? Czy łatwo panujecie nad nimi?

— O, dość łatwo... to znaczy słuchają nas najczęściej.

— Nigdy nie odpowiadają niegrzecznie, ani odmawiają posłuszeństwa?

— Nie... albo£ to znieślibyśmy hardość tych czarnych diabłów? A na co bat, a chociażby rewolwer? Oni wiedzą, że nie znosimy ich grymasów. Przeszłej wiosny miałem tu negra przy orce. Powiedziałem mu, że źle orze; odmruknął coś, czego nie zrozumiałem. Dałem mu parę bizunów przez łeb z siodła, i pojechałem dalej, każąc mu orać bez przerwy. Nie chciał ruszyć z miejsca... zawróciłem konia... słowo panu daję, że w pięć minut później ruszył, jak gdyby szatan za nim pędził. Panie, ten murzyn kłusował przede mną do wieczora. Skoro jeden muł się zmordował, posłałem po świeżego, ale poganiacz musiał kłusować za pługiem do nocy, bo wciąż jechałem za nim. Nazajutrz rano zapłaciłem mu i wypędziłem go z domu. I tak nie byłby mi się zdał, gdyż zachorował skutkiem owego kłusu. Podobno odwieźli go do szpitala w mieście. Nie wiem czy żyje. Ale od tego czasu żaden murzyn nie grymasi u mnie. Są oni dość spokojni i cierpliwi, lecz wypada niekiedy traktować ich ostro.

Dziwiłem się wówczas, czy podobnie brutalne sceny i zdania zdarzają się często na Południu. Później przekonałem się, że tworzą normalne cechy tamtejszego społeczeństwa. A działo się tak, gdy władze północne broniły cokolwiek murzynów, gdy korespondenci do gazet europejskich rozpaczliwie wołali o despotyzmie wojskowym, który tyranizował nad białymi plantatorami na korzyść sług czarnych. Cóż musi się dziać w tym nieszczęśliwym kraju, od kiedy plantator został znów nieograniczonym panem, a północny opiekun żołnierz już daleko, a Bóg wysoko? Pięknie i łatwo pisać o samorządzie, lecz panowie doktrynerzy powinniby odwiedzać powiat i plantacyę pana Nelsona, pod Montgomery, w Alabamie, i przekonać się, do czego prowadzi samorząd w barbarzyńskich społeczeństwach, gdzie silniejsza rasa panuje nad słabszą, żyje z jej potu, nie dba o wszystkie pisane rękojmie i teorye równouprawnienia, nietykalności ciała ludzkiego i emancypacyę murzyńską.

— Pan masz spory sad, tam na pagórku.

— A, był to największy sad w okolicy... przeszło 20 akrów. Ale drzewa pousychały. Rośnie tam rodzaj dzikiej, szorstkiej trawy. W niej mnożą się tysiące królików. Negry podpalają suchą trawę, wypędzają króliki, celem polowania na nie, a to zabija drzewa. Ale na co mi drzewa, murzyni kradliby owoce.

Pani domu wróciła w tej chwili z ogrodu, w którym sadziła groch i cebulę z gromadką murzynek. Twarz jejmości miała żółtą, chorobliwą cerę; szlafrok jej był poplamiony i postrzępiony, a włosy rozczochrane. Przemówiła do męża głosem ostrym i z manierą rubaszną, do tego stopnia, że wziąłem ją za służącę.

— A czy to Jakóba obiłeś przed chwilą?

— Jakóba, odrzekł małżonek.

— Dobrze mu tak! nie szczędź tego diabełka! on zawsze płata psoty. Nie dałeś mu połowy tego co zasłużył.

Pan Nelson nie przedstawił mnie nigdy formalnie swojej połowicy. Snadź nie dbają o ceremonie w Alabamie. Pomimo, że nie wiedziała jak się nazywam i kto jestem, rozmawiała później ze mną bez ogródki o swoich kłopotach ze sługami.

Nadjechał także jeden z sąsiadów pana Nelsona, któremu przedstawiono mnie. On nie zlazł z konia, lecz rozmawiał z siodła z gospodarzem, układając projekt polowania. Potem przemówił do mnie:

— A, miło mi poznać europejskiego gentlemana. I panu pewnie przyjemnie poznać południowych gentleman'ów... bohaterów że tak powiem. O, bilišmy się jak lwy... ja sam byłem majorem i wojowałem 4 lata. Nigdy pan nie czytałeś o mnie w gazetach? ani o moim pułku? co? 16 regiment z Alabamy?

— Ach, tak to dawno, że imię szanownego pana i numer pułku zatarłyby się z pamięci. Wszak lat dziesięć z okładem upłynęło od tej wojny.

— Nam się zdaje że wczoraj się skończyła. Wciąż rozmawiamy o niej i gotowiśmy znów zacząć, w razie potrzeby. Bo też nienawidzimy tych północnych ludzi, nakształt diabłów, co nie lubią święconej wody. No, ale że pan nie lękałeś się przyjechać pomiędzy nas, ogniojadów? A może (dodał podejrzliwie) przyjechałeś, żeby nam psuć negrów, z kazaniami i pamfletami w kieszeni? Albo żeby o nas pisać niestworzone rzeczy do Europy? co? Nim zaczniesz, przyjdź albo przyjedź do mnie. Zobaczysz najlepsze muły, najlepszą rolę, najlepszą bawełnę w Alabamie, dam ci najlepszą wodę i wódkę w Alabamie i zapolujemy na lisy. A tak mas pokochasz, że nic złego o nas nie napiszesz.

Przyrzekłem odwiedzić go nazajutrz. Gdy gospodyni zaprosiła nas do wieczerzy, sąsiad odjechał, znagliwszy mnie do powtórnej obietnicy, że go odwiedzę. Przyrzekłem rumieniąc się, albowiem nie czułem pokusy do poznania jeszcze większego gbura niż pan Nelson, i zawierania bliższych stosunków z ogniojadami Alabamy. Ale ostrożność kazała przyrzec i kłamać.

Całe umeblowanie jadalni składało się z chwiejnego stoła, krzesełek kulawych, kredensu rubasznego i łóżka w kącie, sądziłem, że dla sługi. Niepościelane i brudne bety na tem łożu nie dodawały apetytu przy prostaczej wieczerzy. Przy stole usługiwała bosa murzynka. Inni słudzy przechodzili dowolnie przez pokój.

Po kolacyi zaprowadzono mnie do parloru, czyli salonu, z ogniem na kominku, stołem mahoniowym, lecz zapylonym, z obdartą kanapką, oraz strzelbami i przyborami myśliwskiemi na ścianach. Pod stołem leżał poplamiony dywanik, na stole stare numera pewnej gazety nowojorskiej, poświęconej sportowi. Ona tworzyła całą bibliotekę tego południowego dworu. Pani domu usiadła na kanapce, żując prymkę i spluwając wprost na dywanik. Zapomniałem dodać, że i w tym salonie stało niepościelane łoże; przekonałem się później że było to łoże małżeńskie państwa Nelson.

Z przyległego pokoju dochodziło niekiedy ujadanie psów.

— No, Jakóbie, zapytywała pani, co tym psom robisz?

— Nic, proszę pani! gryzą się nad kolacyą, odpowiadał głos potulny.

— Ja cię pogryzę, jeżeli ich nie uspokoisz, napominała pani.

Pan Nelson wdał się tymczasem w długą rozmowę ze mną o geniuszu murzyńskiego szczepu.

— Te negry poszliby do piekła, mówił on, wypuszczając z ust kłęby dymu, za kościołem, polityką i szkołą. Koniecznie im się szkółek zachciewa, lecz nie można ich niczego nauczyć. Jeden albo drugi liźnie trochę nauki... więc też zaraz wynosi się do miasta, do wyższej szkoły. Ale ogół ledwie zdobywa się na liche czytanie i nie sięga do wysokich nauk, jak nasza szlachetna rasa! Mózg ich ograniczony nie pozwala na to. Nigdy też nie szczędzą i nie dorabiają się niczego, chociaż prawda, że u mego sąsiada umarł niedawno murzyn, co miał 6 mułów.

— Słyszałem że mienie plantatorów cenią wedle ilości mułów. Dawniej cenili je wedle ilości dusz ludzkich.

— Masz pan racyę. Im więcej mułów, tym więcej pola możemy orać i produkować więcej bawełny.

— Jakże z robocizną? Czy zawsze możecie nająć tyle murzynów, ile potrzebujecie.

— Prawie zawsze. Niektórzy sąsiedzi nie mogą, gdyż oszukiwali ich, nie płacili im pensyi i bili ich nadto. Ludzie ich uciekli więc z okolicy, do miast i na północ. Ale kto się nieźle obchodzi z murzynami, jak ja naprzykład, zawsze znajdzie robotników.

— Czy murzyni kradną bardzo?

— Nie tyle co dawniej. Mamy teraz prawo, które pozwala biczować ich za drobne kradzieże. Zresztą sędzia Lynch nas strzeże!

— Nie więzicie ich więc?

— Któżby marnował grosz publiczny na pokarm dla złodziejów. Nie, nie, kij lepiej skutkuje. Nie pozbylibyśmy się więźniów, gdybyśmy ich traktowali jak Europejczyków. Musieliśmy powymyślać dla nich osobne, bardzo ostre prawa, które nie dotykają białych złoczyńców. Ale też i natura ich przewrotna. Jeden z nich podpalił tej zimy mój młyn do czyszczenia bawełny.

— Dla czego?

— Albo ja wiem? z kaprysu, czy złości przeciw mnie. Ha, nie ma na to rady. Koniec końców, nie możemy tu dostać lepszych robotników. Niemcy jeszcze gorzej grymaszą i nie chcą uprawiać bawełny tak tanio jak murzyni, a bić ich i wieszać nie można. Gazetyby pisały o tem.

(d. c. n.)

Literatura zagraniczna.

ZIEMIE NIEBA.

Astronomiczny, fizyczny, klimatologiczny opis planet wraz z ziemią krążących około słońca, oraz przypuszczalny stan życia na ich powierzchni.

Kamila Flammarion.

Streszczone przez

Joannę Belejowską.

VIII.

Jowisz.

Poznajmy teraz olbrzymi świat Jowisza, odległy od Słońca o 192,500,000 mil (czterokilometrowych

a więc 108 milionów mil geograficznych), zatem położony od gwiazdy dziennej pięć razy dalej niż Ziemia.

Droga jaką Jowisz opisuje około Słońca jest pięć razy większą od drogi Ziemi; kolosalny ten świat odbywa ją w przeciągu dwunastu lat naszych. Gdy Ziemia znajduje się w tej samej stronie co Słońce, Jowisz jaśnieje na naszem niebie o północy; jest wtedy w opozycyi z nami i rzuca blask świetniejszy niż gwiazdy pierwszej świetności. Od najdawniejszych czasów Jowisz uważany był za gwiazdę pierwszorzędną. W owych wiekach gdy ludzkość wierzyła w bezpośredni wpływ gwiazd na naszą planetę; największe hołdy składano Jowiszowi, uważając go za władzcę niebieskiej rzeszy. Jowisz wspólnie z Saturnem, Marsem, Venus i Merkurym, dał początek pierwotnej mitologii, której ślady odbijają się po dziś dzień w mitologii klasycznej.

Wyrachowania nowoczesnej astronomii stwierdziły, iż Jowisz jest rzeczywiście najpierwszym i najważniejszym ze światów państwa słonecznego, iż przewyższa wszystkie planety objętością i masą. Ta gwiazda błyszcząca w zodiaku jak świetlny punkcik, którą niedoświadczone oczy uważają za mniejszą od Księżyca, jest światem ogromnym, większym daleko od Ziemi, która wyglądałaby obok niego „jak ziarnko grochu obok pomarańczy.“ Aby utworzyć kulę wielkości Jowisza, potrzebaby 1,230 takich jak nasza Ziemia. Masa Jowisza nie jest stosunkowo równie większą, jednak trzebaby rzucić na szalę trzysta naszych Ziem, chcąc dorównać ciężkości jego. Towarzyszy mu czterech satelitów, większych od naszego Księżyca.

Jowisz przedstawia dostrzegaczowi nadzwyczaj wspaniały widok. Mimo tak niezmiernej odległości jest tak kolosalny, iż widzieć go można prawie pod dwa razy takim kątem widzenia jak Marsa. Teleskop średniej potęgi ukazuje nam tarczę jego cztery razy większą, to też został bardzo dokładnie zbadany i opisany. Pozorna jego średnica dorównywa czterdziestej części średnicy Księżyca, zatem luneta powiększająca tylko 40 razy, przedstawia tarczę jego równającą się tarczy Księżyca podczas pełni, widzianego gołem okiem.

Wpatrując się w Jowisza przez teleskop, od pierwszego wejrzenia uderzają nas przerzynające powierzchnię jego szersze i węższe pasy, ukazujące się szczególniej w stronie równikowej; można je uważać za cechę odróżniającą olbrzymią tę planetę. Niekiedy, obok tych smug białych i szarych, zabarwionych często żółto i pomarańczowo, widać jeszcze plamy, już to jaśniejsze już ciemniejsze od tła na którem się ukazują, lub jeszcze różne nierówności i wystrzępienia bardzo wyraźne w postaci chmur. Plamy te są własnością atmosfery Jowisza: są to chmury pływające w atmosferze bardzo wzburzonej, a ruch ich jest tem prędszy, im znajdują się bliżej środka planety. Jak to już Fontenelle utrzymywał, ruch tych plam możnaby porównać z prądem wichrów dmących pod równikiem ziemskim.

Kolosalna ta planeta ożywiona jest ruchem obrotowym dwa razy prędszym niż ruch Ziemi. Trwanie dnia i nocy zamiast 24 wynosi nie spełna 10 godzin; między wschodem a zachodem słońca upływa tam tylko 4 godzin 57 minut, a w każdej epoce roku noc jest jeszcze krótsza z powodu zmroków. Ponieważ Jowisz uskutecznia swój obrót około Słońca w 144 naszych miesiącach (dwunastu latach) więc rok Jowisza trwa 4,322 dni, 14 godzin i 3 nasze minuty; zaś według ich rachunku, rok liczy 10,455 dni.

Widzimy że kalendarz Jowisza zupełnie różni się od naszego, lecz inna jeszcze zachodzi różnica, nie ma tam wcale pór roku. Jowisz obraca się w ten sposób iż oś jego obrotowa jest prawie prostopadła do planu w jakim porusza się około Słońca; zostaje zawsze w takiem położeniu jakie Ziemia przedstawia w dniu porównania dnia z nocą, tak więc ogromny ten świat wieczną cieszy się wiosną. Równik pochylony tam jest tylko o trzy stopnie, a więc bardzo nieznacznie, ztąd wynika że trwanie dnia i nocy jest tam prawie jednakie pod wszystkiemi szerokościami; że dzień zawsze prawie równy jest nocy (nieco dłuższy z powodu zmroku); że temperatura pozostaje niezmienna, że nie znają tam skwarów lata ani mrozów zimy, i że klimat zmienia się nieznacznie i harmonijnie, według powolnej i jednostajnej gradacyi równika przy biegunach.

Z powodu swej odległości, Słońce użycza Jowiszowi 27 razy mniej niż Ziemi światła i ciepła. Zdawałoby się że światło i ciepło 27 razy słabsze od naszego, należałoby raczej nazwać zimnem i ciepłem, ale trzeba zwrócić na to uwagę: 1° że atmosfera Jowisza może lepiej od naszej ześrodkowywać ciepło; 2° że może nie samo promieniowanie słoneczne ociepla tę planetę; 3° i najgłówniej że o stanie Jowisza nie można sądzić według wrażeń życia ziemskiego.

Już opisując Venus powiedzieliśmy: że rzeczywisty klimat planety zależy w znacznej części od natury atmosfery. Można przypuścić atmosferę złożoną w ten sposób iż zatrzymuje w przejściu wszystkie przychodzące do niej promienie słoneczne i więzi je jak w pułapce. Tyndall wykazał iż warstwa powietrza gruba na dwa cale, nasycona parą eteru siarkowego, przepuściłaby prawie wszystkie promienie ciepłe, powstrzymałaby zaś trzydzieści pięć setnych promieniowania planetarnego. Dwa razy tak gruba warstwa zdwoiłaby to pochłanianie, a rzecz prosta że osłona tej natury dozwalająca ciepłu wchodzić a nie wypuszczająca go, może nadać odległym planetom temperaturę wyższą niżby to się mogło zdawać.

Na Jowiszu atmosfera musi być cieplejsza niż mogłoby ją wytworzyć działanie Słońca, tak odległego od tej planety, tak więc tak ogromne ilości pary wodnej jakoteż gwałtowne zaburzenia jakie się tam dostrzegać dają, tak więc zewnętrzne te zmiany wynikają zapewnie z przyczyn wewnętrznych. Może znajdują się tam wulkany i źródła pary, może elektryczność odgrywa rolę w tych zmianach, a może atmosferę tej planety, ogarniają niekiedy niezmierzone zorze północne. Na jedno jeszcze należy zwrócić uwagę: zmiany dostrzegane na Jowiszu zdają się mieć jakiś związek z plamami słonecznemi, i także co lat jedenaście dochodzą do swego maximum.

Gęstość tej planety równa się jednej czwartej średniej gęstości Ziemi; ciężkość na jej powierzchni jest dwa i pół razy większa niż na Ziemi; atmosfera wysoka, gęsta, burzliwa i nasycona parą, temperatura zepewnie wyższa niż nasza; pór roku nie ma wcale tylko ciągła panuje wiosna.

Z dokonywanych obserwacyi wnioskować trzeba że atmosfera tej planety podlega daleko większym zmianom, niżby je spowodować mogło samo działanie Słońca; że atmosfera ta jest bardzo gęsta a ciśnienie jej ogromne, i że powierzchnia tego świata nie dosięgła jeszcze tego co Ziemia nasza stanu trwałości i możności utrzymania się w równowadze. Prawdopodobnie, choć świat ten powstał przed Ziemią, jednak z powodu swej objętości i masy, zachował daleko dłużej swe pierwotne ciepło. Lecz czy własne to ciepło jakie zdaje się posiadać Jowisz, jest jeszcze tak wielkie iż nie dopuszcza objawów życia, i czy świat ten jest dotąd jeszcze nie świetlnem ale ciemnem i palącem słońcem, zupełnie płynnem lub pokrytem zaledwie ściętą skorupą, jaką była Ziemia przed rozpoczęciem się objawów życia na jej powierzchni, lub czy kolosalna ta planeta znajduje się teraz w takim periodzie temperatury przez jaki przechodziła nasza Ziemia w *pierwotnym okresie epok geologicznych,* kiedy życie zaczynało się objawiać w dziwnych kształtach roślinnych i zwierzęcych, obdarzonych zadziwiającą żywotnością, wśród wstrząśnień i burz rodzącego się świata?.. Tak wnioskować każą najnowsze i najdokładniejsze obserwacye odnoszące się do obecnego stanu tego olbrzymiego świata. *(d. n).*

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Maryi W. w Oporowie. Sprawunki odesłane zostały, komplet Przyjaciela za rok bieżący dopiero za parę tygodni będzie gotowy do przesyłki.

Panu Emilowi K. Uczucie nie jest jeszcze poezyą, forma także jej nie stanowi, są to tylko sukienki bez których prawdziwie poetyczne natchnienie, nie wyda się we właściwym sobie blasku.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1 i 2. Strojne ubrania wizytowe. *Suknia z jasno niebieskiej faille formą princesse* zdobna u dołu trzema plisowanemi falbankami i dopełniona białem muślinowem vêtement z ażurowo wszywanemi wstawkami. Przybranie vêtement i upięcie kokard wskazuje rycina. Rękawy z materyi zdobne falbanami z koronki odpowiedniej do wstawek.

Suknia z materyi i aksamitu koloru prime. Przód i pierwsze kliny sukni naszyte są gładkiemi plisami aksamitnemi zakończonemi frendzlą sznelową i plisowanemi falbanami. Środek trenu jest aksamitny, kliny boczne z materyi faille w górze zdobne kilkoma rzędami fałdowania, poniżej spięte wielką kokardą, daną wierzchem trenu. Stanik złożony z części aksamitnych i faille jak to widać na rycinie, ma wzdłuż przodów wszyte drobniutkie fałdowanie z materyi. Rękawy bardzo obcisłe zdobne podwójnym mankietem. Guziczki złote. Dół sukni podszyty muślinową falbaną.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 18 (30) Ноября 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.